

Anna Klimowicz z d. Kondratczyk, ur. 2. XI 1924 r. w Wasiliszkach, pow. Szczuczyn Nowogródzki, woj. nowogródzkie /teraz Grodno/. Ojciec był rzemieślnikiem-krawcem. Mieliśmy duży dom, który wynajmowaliśmy pod restaurację i z tego też mieliśmy dochód. Ojciec dostawał też rentę wojenną za służbę jeszcze w armii carskiej. Imiona rodziców: Józef i Maria. Było nas 4 rodzeństwa: najstarszy brat Jan - obecnie w Anglii /ur. w 1915 r./ - ukończył seminarium nauczycielskie, seminarium w Szczuczynie, potem wstąpił do podchorążówki, a w 1938 r. po odbyciu praktyki nauczycielskiej i po odbyciu czynnej służby poszedł na podchorążówkę gdzieś w Komorowie koło Warszawy. Kiedy wybuchła wojna, poszedł na wojnę. Dostał się do niewoli - do Ostaszkowa. Był później w domu i opowiadał. W ostaszkowie odłączali oficerów od szeregowców. On był wzięty w ubraniu cywilnym, powiedział więc, że jest szeregowcem, miał świadectwo z seminarium nauczycielskiego, bardzo dobrze mówił po białorusku /był nauczycielem gdzieś na Pińskich błotach, tam ludność mówiła tylko po białorusku/ i go puścili do domu. Kiedy przyjechał do domu do Wasiliszek zimą 1939/40 r., to zorientował się, że dużo osób jest aresztowanych. Początkowo więc ukrywał się. Potem mama poszła do księdza i zorganizowano mu przejście na Litwę. Poszedł zimą nocą na stację do Skrzybowic. Zatrzymał się w Wilnie u swego kolegi.

Spodziewaliśmy się, że nas wywozą, bo przychodzili do nas spieszać - przychodził taki znajomy Żydek. Na noc wychodziliśmy z domu - jak była cisza w miasteczku, to wracaliśmy. Zatrzymywaliśmy się u takiej cioci na wsi - 2 km od miasteczka.

Z rodzeństwa kolejną była siostra Helena z 1923 r., potem ja - z 1924 r. i brat Michał z 1932 r. Wszyscy uczyliśmy się: ja i siostra w gimnazjum w Szczuczynie, brat uczył się w seminarium, a potem poszedł do podchorążówki, więc też od czasu do czasu trzeba

Anna Klimowicz

trzeba mu było pomóc, więc w domu nie mogło być bardzo zamożnie. Ale na kształcenie dzieci trzeba było mieć pieniądze- opłacać i za szkołę i za internat /mieszkanie prywatne/.

Jak się zaczęła wojna, to nie pojechaliśmy do szkoły we wrześniu, pojechaliśmy dopiero w październiku. Nauczanie było nadal po polsku, tylko był też język rosyjski jako lekcja i białoruski. To były obowiązkowe lekcje. Potem aresztowali naszego dyrektora gimnazjum. Przed wojną chodziliśmy ze szkołą do kościoła. A teraz zbierałyśmy się w rynku, szłyśmy do kościoła /naturalnie, nie wszyscy uczniowie przychodzili/. Po drodze do kościoła było więzienie, podchodziłyśmy więc pod więzienie i krzyczałyśmy: "Wypuścić naszego dyrektora!" On siedział w tym więzieniu, wiedziałyśmy nawet, w którym oknie.

Białoruskiego uczył p. profesor Guzik /rysowałyśmy jego karykaturę-na rowerze guzik/ - mówił bardzo dobrze po polsku, ale przed wojną nie było go w naszym gimnazjum. Nie pamiętam, kto uczył rosyjskiego. Po zostali nauczyciele nie zmienili się.

Kiedy wróciłyśmy po wakacjach do szkoły to już godła nie było chyba. Chodziliśmy do tej szkoły tylko do ferii świątecznych. Ponieważ w międzyczasie otworzyli szkołę w Wasiliszkach - 10latkę, Siostra poszła wtedy do ostatniej klasy /bo ona była w 4 klasie gimnazjum/, a ja już nie poszłam do szkoły.

Uciekając do cioci na wieś potem wysylaliśmy takiego chłopaka na zwiad do domu. Pewnego razu on wrócił i powiedział, że nie mamy po co wracać, bo właśnie w nocy ludzi wywozili, w naszym domu drzwi są wyrwane, niektórych sąsiadów powywozili. Siedzieliśmy więc u cioci - 5 osob. Ciocia była starą panną, gospodarstwo miała malutkie i nie mogła nas utrzymywać. Wtedy ojciec powiedział, że pójdzie gdzieś w swoje strony i może tam znajdzie jakieś mieszkanie. Ojciec był z Sobakińców /powiat chyba lidzki/. Ojciec przenocował w Sobakińcach i

Anna Klimowicz

rano przyszedli go aresztować - ktoś musiał o nim donieść. Brat ojca - Piotr K<sub>o</sub>ndratczyk był już wywieziony - w lutym. Brat ten był osadnikiem. Ojca przyprowadzono do miasteczka. Ludzie dali znać mamie, że ojca aresztowali. W międzyczasie sąsiad przyjechał furmanką i wywoził mnie i siostrę do znajomych ojca - braci Raubo, którzy mieszkali niedaleko od Skrzybowców. Raubowie nie byli osadnikami wojskowymi, mieszkali tylko na kolniach. Mama zdecydowała, że ojciec nie może jechać sam, bo jest chorowity. Bała się też, że potem nas złapią i powywożą każdego oddzielnie. Poszła więc z tym młodszym bratem na milicję i powiedziała też, gdzie my jesteśmy z siostrą. Przyjechał furmanką po nas - był też jeden Żyd - przywieźli nas do Wasiliszek. W Wasiliszkach siedziałyśmy jeszcze przez tydzień w pomieszczeniu byłego sklepu żydowskiego przy ulicy Krońkowskiej. Później przywieźli jeszcze jedną Żydówkę z Ostryny. Ta Żydówka uciekła z domu zostawiając dzieci i ch<sub>o</sub>rą sparaliżowaną matkę. Była przekonana, że chorej staruszki i dzieci nie wezmą. Ale oni zabrali tę matkę i dzieci - to wtedy ta Żydówka sama się zgłosiła.

Przywieźli też jeszcze małżeństwo z dwójką dzieci - to był gajowy.

P<sub>o</sub> nas przychodził żołnierz z miejscowym Żydem - to był młody chłopak, w wieku może 19 lat, syn sklepikarza przedwojennych.

Gdy y Rosjanie wchodzili do Wasiliszek, to wychodziliśmy akurat z kościoła, z niedzielnej Mszy. Zobaczyliśmy ich na takich niskich mongolskich koniach. Ż<sub>o</sub>łnierze zaraz zatrzymali się, ludzie mówili po białorusku, więc rozmawiali z żołnierzami.

Nie miałam żadnego wyobrażenia o Rosji. Starsi ludzie wiedzieli na pewno więcej. Moja mama była już raz w Rosji - w 1915 r. Młodzież uciekała wtedy przed Niemcami, którzy wywozili na roboty, była więc moja matka wśród "bieżencew". Mój pradziad był carskim uradnikiem, a za czasów już polskich dziadek był zarządcą majątku. Matka była z

Anna Klimowicz

domu Mickiewicz. Dom w Wasiliszkach matka moja dostała w posagu. Moja matka znała więc Rosję, bo kiedy ojca wzięli do wojska w czasie tamtej wojny, to matka z bratem, który już się urodził w Rosji, przeszła wiele w Rosji i bała się.

Kiedy wszyscy już byliśmy połapani, to siedzieliśmy jeszcze przez cały tydzień w Wasiliszkach, później któregoś rana załadowano nas na furmanki. Powiedzieli nam, żeby wziąć tylko jedzenie, a rzeczy będą dowieszone później. Tak też zrobiliśmy. Przywieziono nas na stację do Skrzybowiec, wsadzono do pociągu i zawieziono do Baranowicz do majątku Mariampol. Budynek był jeszcze niedokończony, bez podłogi. W budynku byli już inni ludzie, tak jak i ma połapani. Przywieziono nas tam samochodem ciężarowym wieczorem, z budynku wybiegli inni ludzie z okrzykami "Goście jadą, goście jadą". Ktoś mnie i siostrę zawołał po imieniu. To był Bogdan Reychel - chodziliśmy z nim razem do gimnazjum. Bogdan był synem sędziego - był tu razem z matką i starszym bratem Adamem. Ojciec ich był aresztowany już wcześniej.

Nie mieliśmy tam na czym spać - rzucono nam tylko słomy na klepisko. Ale kobiety - m.in. p.Reychelowa i inne dały nam pościel i poduszki /one miały ze sobą rzeczy już zabrane/. Mijały tygodnie, a my nie mieliśmy w co się przebrać, na czym spać, nie mamy zmiany bielizny - a tu mówią, że będą nas wywozić. Był w milicji taki Mikołaj - Białorusin. Mama poprosiła go, żeby zadzwonił do Wasiliszek w sprawie naszych rzeczy. Nie mieliśmy tam specjalnego bogactwa, więc nie było się tam na co specjalnie łakomić. Ale ta Żydowka miała przed wojną sklep z materiałami, więc ona miała sporo kuponów na sukienki i spódniczki. Więc może tamtejsza milicja łakomiła się na jej rzeczy. My mieliśmy już wcześniej popakowane rzeczy - chowaliśmy je pod żłoby w chlewie. Potem doniósł je nam pracownik ojca Michał Bogdziewicz. Wszystkie te tobołki mieliśmy więc ze sobą w areszcie. Ale one z Wasiliszek nie nadchodziły. Wtedy mama dostała się do naczelnika NKWD w Baranowiczach.

Anna Klimowicz

Mama płakała, że jest troje dzieci - bez ubrań, tylko w letnich sukienkach. Wtedy naczelnik zadzwonił do Wasiliszek i zagroził, kazał natychmiast rzeczy przywieźć. Na drugi dzień rzeczy przywieźli furmanką, całe szczęście, bo za parę dni nas wywieźli. Nikt z rodziny ani krewnych nas w tym czasie nie odwiedzał, nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy.

Kiedy nas wywozili, była bardzo ładna pogoda. Staliśmy jeszcze przez parę dni na stacji w Baranowiczach - już w wagonach. Pani Reychelowa zdecydowała się na ucieczkę, powiedziała mamie, żeby po jej ucieczce zabrała sobie jej rzeczy. Wychodziliśmy z tego wagonu do młodego lasu, ale kiedy pewnego razu p. Reychelowa zaczęła się oddalać, to strażnik ją zatrzymał i kazał wrócić. Nic z tej ucieczki nie wyszło.

13 kwietnia, kiedy my uciekliśmy, to z Wasiliszek wywieziono 17 rodzin. A my ze 2 tygodnie chyba chowaliśmy się, potem może ze 4 tygodnie siedzieliśmy w tym majątku koło Baranowicz, tak że nas wywieziono później - w maju.

W kwietniu wywieziono m.in. Helenę Bronowicką, Henię Błachowską. Bronowiccy byli bez ojca - on był policjantem i albo był wcześniej aresztowany albo uciekł - nie wiem. P. Bronowicka była z 3 dzieci: Władek, Helena i Aneczka. Błachowscy byli też bez ojca, była matka i córka i syn. Manejkowscy - to było starsze małżeństwo, córka była nauczycielką z zawodu i żoną oficera /mieszkają tutaj gdzieś w Szwajcarii Kaszubskiej/, był też jej brat - w sumie więcej niż 4 osoby. W transporcie już nie było prawie żadnych mężczyzn, za wyjątkiem takich - jak mój ojciec /nie był ani policjantem, ani wojskowym/. A policjanci i wojskowi już wcześniej albo przeszli do Rumunii albo zostali już aresztowani. Dlatego córka Manejkowskich była już bez męża.. Byli Kalenkiewiczze /z naszej ulicy/ - ich syn był oficerem-lotnikiem. Oni też uciekli, ale dziadek tego oficera schował się za stodołą, że-

Anna Klimowicz

by pilnować dobytku /mieli też takił ładny domek murowany/. Kiedy przyszli po Kalenkiewiczów, to dziadek wychylił się z za stodoły. Zobaczyli go i zabrali, a jak zabrali dziadka, to i cała rodzina się zgłosiła. Była też rodzina Rusinowiczów, która też uciekła - i oni się przechowali przez cały czas na wsi. Ich syn też był wojskowym, to byli koledzy mojego brata. Kiedy byłam w Wasiliszkach w 1968 r z mamą, to byliśmy tam u nich. Kiedy Rosjanie przyszli po raz drugi w 1944 r., to już ich nie wywiezli, a przy Niemcach oni się nie ukrywali. Mieszkają tam do dzisiejszego dnia.

Gawoń

Jechaliśmy cały miesiąc aż do stacji ~~Tutojas~~ Przyjechaliśmy pociągiem rano: słyszymy śpiewające ptaki, drzwi nie są zaryglowane. dookoła lasek, jacyś ludzie rozmawiają koło wagonu. Przyjechały furmanki, załadowali nas na furmanki i powieży. Przywieźli do łazni, odzież poszła do dezynfekcji. Potem zawieziono i załadowano nas na barki. Była tam rzeka Tom. Płynęliśmy przez cały dzień w górę rzeki. Dopłynęliśmy do domku przewoźnika, tam zatrzymaliśmy się, rozpalili ognisko i nocowaliśmy na łące nad rzeką. Byliśmy wszyscy z tego transportu - było nas kilka barek, które ciągnął parowiec /parochod/. Później rzeka była coraz węższa i płytsza. Kobiety, dzieci i rzeczy załadowano na łodzie, do łodzi były zaprzężnięte konie, które te łodzie ciągnęły. Młodzież i ludzie silni szli piechotą. Jeden NKWDzista szedł na czele, drugi z tyłu - szliśmy jedną ścieżką wzdłuż brzegu, bo drógi tam nie było. Przyszliśmy do tego Tutojasu - łodzie już były na miejscu. To był posiołek: jedna ulica i dwa rzędy domków - nad rzeką Tom. Rzeka była śliczna, przywieźli nas latem, wszędzie zielono. To był Tutojas, rejon Myski, obłast Nowosybirsk. Zobaczyły nas Rosjanki i później w szkole mówiły: "Sądziłyśmy, że polskie pany przyjadą w sukniach z ogonami, eleganckie, a tu przyjechali ludzie brudni, zawszeni". W Tutojasie była cała dyrekcja Lesouczastka, było tam

Anna Klimowicz

sporo miejscowej ludności. Na górze stało kolka nowych baraków, chyba specjalnie wybudowanych dla nas. Ale nas zakwaterowano z kilkoma rodzinami w starym baraku - 3 czy 4 rodziny. Mieszkało nas w jednym pokoju 5 /nasza rodzina/ i p. Młyńczakowa z 2 synkami. Jeden syn Młyńczakowej nazywał się Radosław. Ona była chyba gdzieś spod Brześcia.

Siostrę moją wzięli odrazu do lasu - zabrali wtedy całą młodzież i mężczyzn do pracy, tam też oni i mieszkali. Ojca nie zabrali, bo ojciec był starszy i chorowity. Ojciec zajmował się ciesielką: naprawiał okna, drzwi. Mama była sprzątaczką. Ojciec zachorował i poszedł do rejonu do lekarza. Zobaczył tam po drodze spółdzielnię krawiecką. Brakowało im bardzo krojeckiego. Załatwiono więc ojcu mieszkanie w baraku /dla całej rodziny/ i przeniesienie do rejonu. W tych Myskach mieszkała tylko nasza jedna rodzina polska - aż do pierwszej amnestii. A pozostali Polacy z naszego transportu mieszkali w Tutujasie. W Myskach była szkoła 10-latkowa i my z siostrą poszliśmy do szkoły: siostra do 10 klasy, a ja do 9-ej. Myski były oddalone od Tutujasu około 15 km. Leżały nad samą rzeką, ale już nie w lesie.

str.B

Nie było nad nami ani w Tutujasie ani w Myskach żadnego dozoru. Tylko kiedy chcieli nam dać obywatelstwo radzieckie, a ojciec się nie zgodził, to siedział chyba dobie w areszcie. Mnie też wezwali i siostrę. Ja też siedziałam, ale nie w areszcie tylko w dyżurce. Kiedy mnie wezwano, to mówili, że mam podpisać obywatelstwo radzieckie, bo my już do Polski nigdy nie wrócimy. Powiedziałam, że jeśli nie wrócimy, to będziemy mieszkać tu, ale jesteśmy Polakami i mamy polskie obywatelstwo. Wypuścili nas w końcu.

Jak wyszła amnestia, to jeszcze kilka rodzin przyjechało do Mysek, m.in. pp. Reychelowie, Piszczycowicze, Górczycowicze, panią Irka Rybaczkowska. Było nas już tam kilka rodzin.

Anna Klimowicz

Gorczycowie - to była żona policjanta, syn Robert i córka Jola. Jola jest teraz w Zielonogorskiem, a Robert w Słupsku. Pp Piszczycowicze - to było małżeństwo i córka Halina i syn Jurek. Halina była w moim wieku, a syn trochę młodszy. P. Piszczyk był księgowym w Łunińcu. Na Syberii też pracował jako księgowy w Lespromchozie.

W kwietniu 1943 r. dostaliśmy wezwanie z Wojenkomatu - ja, siostra, Halina Piszczycówna i kilka Rosjank też /ponieważ my Polki chodziłyśmy do szkoły, a Rosjanki pracowały/ - to było wezwanie do pracy do Stalińska, który był oddalony gdzieś około 50 km. Siostra miała słaby wzrok, od dziecka chorowała na oczy. Mama poszła do lekarki, dała jej chustę taką dużą z frędzlami /z której można było uszyć suknię/ i lekarka napisała, że siostra nie nadaje się do pracy w kombinacie metalurgicznym. Tak że siostra została w Tutujasie i ukończyła tę 10-latkę. A myśmy poszły do Wojenkomatu i powiedziałyśmy, że wyjdziemy do tego Stalinska jutro, bo już jest po południu, a to było przedwiośnie. Nie pozwolono nam przenocować w domu, kazano przynajmniej z 5 km przejść tego dnia - do najbliższej wioski. Poszłyśmy. Do północy doszłyśmy do wsi Biezrukowo /to był kołchoz/. Rosjanki znały drogę. Mama też znała tę drogę, bo chodziła do kołchozu kupować wódkę. Wódką handlowała z koniuchami z NKWD - oni mieli owies. We wsi przenocowałyśmy. My z Haliną Piszczycówną nocowałyśmy u p-wa Bałabańskich - to byli też Polacy. Bo z Tutojasu to wszyscy się rozjechali - kto do Mysek, kto do kołchozu Biezrukowo. Wyszłyśmy rano znów, była ładna pogoda - nie padało, ale droga była taka błotnista. Doszłyśmy do rzeki, trzeba było przez Tom przejść. Latem tam był prom i przewoźnik, a teraz to było tak: pod spodem lód i na nim warstwa wody. Byłyśmy w trzewikach, niektóre Rosjanki w walonkach, a niektóre miały buty z cholewami. Te w butach z cholewami przechodziły na drugą stronę, zdejmowały buty, stawały na fufajkach i jedna przynosiła te bu-



Anna Klimowicz

ty z powrotem. A że Halina Piszczykówna była wysoka dziewczyna, miała dużą nogę i żadne buty na nią nie pasowały, to ona przeszła w swoich trzewikach /a myśmy po kolei przechodziły w tych butach/. Od rzeki do miasta było jeszcze chyba z 15 km. Kiedyś musiał tam być jakiś obóz - bo to były baraki otoczone miosą i mostem. Przyszliśmy na miejsce, zaczęto nas rozlokowywać po barakach. Zajrzyliśmy do kilku baraków. Wszędzie ludzie spali nie na pryczach, a na podłodze. A na pryczach leżały zawsze jakieś szmatki. Ludzie spali na podłodze, bo na pryczach bardzo gryzły pluskwy. W końcu znalazliśmy miejsce w baraku pustym. Były prycze - same deski - i zimno. Ten mężczyzna przyniósł skądś węgiel, rozpaliliśmy w piecu, siadaliśmy dookoła. Ja przysnęłam i przez nieuwagę spaliłam pająki /buty, które mi ojciec uszył/.

Rano nikt nami się nie interesował. Pojechaliśmy do Starokuzniecka tramwajem, do znajomej Rosjanki Tamary Kowalskiej. Jej ojciec był jakimś urzędnikiem w Lespromchozie w Myskach, a potem go przeniesiono do Starokuzniecka. Kowalscy przyjęli nas - mnie i Halinę na mieszkanie. Spałyśmy we trzy - ja, Halina i Tamara - na jednym żelaznym łóżku. Oni mieli jedno duże pomieszczenie - kuchnię i pokój. Do pracy trzeba było dojeżdżać tramwajem. A Halina po przejściu przez tę wodę zachorowała na różę i zabrali ją do szpitala zakaźnego. Obcięli jej włosy - miała takie śliczne kręcone włosy.

Zacząłam chodzić do pracy. Zostałam uczniem elektryka. Moim szefem był chłopak Kola - niewiele starszy ode mnie. To była ogromna fabryka - pociągi jeździły po tej fabryce. Była tam i koksownia i dział metalowy i chemiczny. Było też laboratorium chemiczne. Kola kazał mi w suficie przebijać przebijakiem otwór. Na podłodze stały m.in. butle z kwasem siarkowym. Przebijałam ten otwór i niechcący upuściłam <sup>Z</sup>przebijk czy młotek. To spadło na 50 -litrową butlę z kwasem. Butla pękła, mnie opryskało - cała spódnica na mnie się rozleciała, całe

Anna Klimowicz

buty się spaliły. Pani z laboratorium wzięła mnie zaraz pod kran - mam jeszcze niewielki ślad po tym poparzeniu. Mieli mnie sądzić za sabotaż, ale jakoś zostałam wybroniona i sądu nie było. Potem uczyłam się na tokarza, bo akurat przywieźli tokarki. Uczyłam się razem z dziewczyną z Len ngradu - Maszą. Nauka trwała 2 dni. Na trzeci dzień na nocną zmianę trzeba było iść do pracy. Był bardzo dobry majster, nazywał się Bratczyk /Rosjanin/. Toczyłyśmy na tej tokarce takie koła. Majster poradził mi, żeby kiedy przyjdzie uczończyk podać mu koła wytoczone przez innych. Tak że nasze koła były zapisywane potrójnie. To trwało niedługo.

Żyłyśmy tak: dostawałyśmy obiady - zupę w stołówce zakładowej. Dostawałam dziennie 1 kg chleba, litr mleka i tę zupę. Za zupę i za chleb płaciło się. Wystarczało zarobków, żeby wykupić chleb. Do zupy wlewali łyżkę oleju. Za każdą dziewczyną stał zawsze mężczyzna, bo kiedy dziewczyny wybrały z zupy to gęstrze, to ci mężczyźni wypijali resztkę.

Potem pracowałam przy piecach koksowniczych jako dyżurny-elektryk. Zakładałam w nocy taką prowizorkę do remontowanych pieców. Ale w końcu dostałam się do wypożyczalni narzędzi w warsztacie elektrycznym. Pracowałam nadal na zmianę. W tym czasie już też powołali ojca do strojbatu do Leninska do kamieniołomów. Dostałam od ojca wiadomość, że miał wypadek i jest w szpitalu. Chciałam więc pojechać do ojca, ale tam nie można było jeździć, gdzie kto chce. Poszłam więc do rady zakładowej i wyprosiłam zaświadczenie, że jadę do Leninska po ziemniaki. Pojechałam więc do ojca. Ojciec miał zdruzgotane kolano. Na bazarze w Stalińsku można było kupić coś do jedzenia - lepioszki, pielmeni. Zawiozłam więc to ojcu. W międzyczasie powołali też do wojska jesienią 1943 r. siostrę. Mama z bratem przeniosła się bliżej do Stalińska - do kołchozu Biezrukowo /25 km od Stalińska/. W Stalińsku

Anna Klimowicz

można było na bazarze kupić chleb na kartki. A w kołchozie oni w ogóle chleba <sup>i</sup> nie dostawali. Odpracowałam więc trzy dni noce pod rząd, kupiłam chleb i poszłam do matki. Była zima, przeszłam zamarznąłą rzekę - spać mi się chciało strasznie. Zeszłam ze ścieżki żeby się zdrzemnąć choć przez chwilę. Zdrzemnęłam się i usnęłam. Zamarzłabym, ale jechał jakiś mężczyzna i krzyknął. Zerwałam się, słońce już zachodziło, a przede mną jeszcze z 15 km. Ale nabrałam tempa. Przyszłam do mamy - była akurat Wigilia. Mama mieszkała z pp. Bałabańskimi - jedli akurat wigilię - ziemniaki z kapustą, bo chleba wcale nie mieli. Więc przyniosłam im akurat chleba. Pobyłam tam parę dni i przyszłam z powrotem.

Kiedyś dostaliśmy paczkę z UNRRy - z koca UNRRowskiego ojciec uszył mi płaszcz, a siostra dostała pantofle. Kiedy szła do wojska, to zostawiła mi te pantofle. Kiedyś szłam tak do mamy, szkoda było mi pantofli zakładać - więc szłam boso. Po drodze zabrała mnie ciężarówka z taką metalową platformą. Stałam na tej platformie boso, bo nogi miałam brudne i szkoda było brudzić pantofli. Ta, czyłam na tej blasze z zimna. Potem rozchorowałam się, rzuciły mi się wrzody na nogi. Siostra opatrzyła mi te wrzody, ale zwolnienia z pracy nie mogła mi dać. Musiałam wrócić na tych nogach do Stalińska i dopiero tam dostałam zwolnienie.

Zdecydowałyśmy z matką, że pojedzie do ojca. Biletów nie można było dostać, więc jechała na stopniu wagonu. Załatwiła ojcu zwolnienie z pracy, ale ojciec nie chodził. Matka pożyczyła od kogoś wózek ogrodowy, przywiozła go na stację, wsadziła do pociągu i przywiozła do Stalińska do mnie. Powiozłyśmy ojca do szpitala w Stalińsku. Tam powiedziano, że miejsce nie ma. Jedna Rosjanka - siostra kazała nam iść, zostawić go w ogóle bez opieki - wtedy się nim zajmą. Tak też

Anna Klimowicz

zrobiliśmy. Wyszliśmy, zostawiając go samego. Schowałyśmy się za żywopłot, widzimy, że ojca już dają do łaźni, ubrali w piżamę...

W szpitalu zrobili ojcu ponowną operację - łamali kość i zestawiali na nowo. Po pewnym czasie o lasce mógł już przejść 15 km. Rodzice zamieszkali potem w Atamanowie z pp. Filemonowiczami w jednym domu /teraz ta koleżanka mieszka pod L<sup>ip</sup>nicą/. Ojciec tam szył trochę ludziom i tak żyli.

Pewnego razu mama przyszła do mnie i powiedziała, że ich milicjant zapisał na wyjazd ~~do Polski~~ /i Filimonowiczów też/. Powstał problem, co będzie ze mną. Poszłam do naczelnika i pytam. Powiedział mi, że ja jestem zmobilizowana i to jest moja służba wojskowa na tyłach. Rodzice mogą jechać, a ja muszę pracować. To była jesień 1944 r. Poszliśmy z mamą do NKWD do przedstawiciela do spraw polskich. Przedstawiłyśmy sprawę, on zadzwonił do zakładu i powiedział, że nie mogą mnie zwolnić, bo jestem zmobilizowana. Ten NKWDzista doradził mi po prostu uciekać. Tak też zrobiłam - jak przyszedł pociąg i był już gotów /było dużo Żydów i Polaków/. Zaszyłam się w pociągu pod narami, siedziałam cicho przez 3 dni. Dopiero jak pociąg ruszył odetchnęłam z ulgą.

Zawieźli nas na Ukrainę do kołchozu Kiermieńczuk do obwodu Stali, no. Tam byliśmy w tym sowchozie. Ja miałam w wagonie wypadek - na piecyku gotowała się kasza, kiedy pociąg ruszył, to garnek spadł na mnie i poparzyłam się. Po przyjeździe więc do kołchozu nie poszłam na pole tylko do przedszkola /tym był też razem i żłobek/. Pracowałam jako wychowawczyni. W kołchozie było nas kilkanaście rodzin, m.in. Filemonowiczowie. Kilka rodzin tam potem zostało, bo oni mieli obywatelstwo czy pochodzenie białoruskie. Tak że, kiedy myśmy wyjeżdżali w 1945 roku, to oin chcieli wyjechać ale nie mogli. To byli m.in. Pie-

Anna Klimowicz

kacze - starsze małżeństwo i syn z żoną i dwójką dzieci. To była też p. Ksenia - prawosławna, żona policjanta z synkiem.

Pracowałam tam do lutego 1946 roku. Tam już nie było tak źle. Mama pracowała w stołówce. Ojciec szył ludziom i w zamian otrzymywał albo olej, albo mąkę. Brat do szkoły nie chodził, polskie dzieci tam do szkoły nie chodziły. Tam już pszenicy się nakradło. Mieliśmy takie swoje młynki, to można było to zemleć. Z kradzionego słonecznika w Jenisolu robiło się olej i można było żyć. Jeszcze nawet do Polski przywieźliśmy parę butelek tego oleju.

Mieszkaliśmy tam też w takim baraku. W tym baraku mieszkali studenci, którzy przyjeżdżali do prac polowych. W baraku zamieszkali więc Polacy i tylko jedna rodzina rosyjska. Część osób mieszkała w murowanym domu - mieli po jednej izbie na rodzinę.

Transport nasz zatrzymał się w Katowicach, wysiedliśmy tam i pojechaliśmy do siostry w Bytomiu - ja, mama i brat. A ojciec pojechał z transportem i miał nam dać znać, dokąd zajechał. Otrzymaliśmy telegram od Heli Filimonowicz, że ojciec leży chory we Wrocławiu. Przyjechałyśmy z siostrą do Wrocławia - szukamy ojca w szpitalach w PUFac - nigdzie go nie ma. Spotkałyśmy Zosię ....., poszłyśmy do niej na noc i usłyszałyśmy, że nasz transport pojechał do Legnicy. W telegramie przekręcili dane. Przewiozłyśmy ojca do Wrocławia. A że jednostkę siostry mieli też przenieść do Wrocławia, zdecydowałyśmy się na Wrocław. Zamieszkaliśmy ten domek.

W 1949 r. poszłam do pracy do wojska. Tam poznałam przyszłego męża, wyszłam w 1949 r. za męża. Mąż jest spod Lwowa. Nie chciał być w wojsku i zdemobilizował się. Pracował jako wychowawca w szkole w Praczech. W r. 1951 ojca ponownie wezwali do wojska do Krotoszyna. Męża w wojsku aresztowali, siedział we Wrocławiu. Wzięłam przed Rozprawą prywatnego adwokata. Wkrótce dowiedziałam się, że obrońcy też

zostali aresztowani. Potem na rozprawie byli obrońcy z urzędu. To było w sądzie wojskowym na Krzykach. Razem z mężem było aresztowanych 4 jego kolegów - Zdzisław Leśniak dostał 10 lat, mąż i inny kolega - po 7 lat, a p. Organista - 6 lat. Mój mąż nazywał się Bronisław Klimowicz. Artykuł 27 - wróg ludu, chciał zrobić przewrót w Polsce. Mąż został wzięty do wojska w 1944 r. we Lwowie. Na krótko przed końcem wojny werbowano do szkół oficerskich. A że mu się podobało przedwojenne wojsko polskie, to zdecydował się na szkołę. Skończył szkołę kwatermistrzów w Lublinie. Pochodził z rodziny kolejarskiej, teść był maszynistą.

Mąż pracował jako więzień w kamieniołomach, a potem został przeniesiony do Knuruwa do kopalni. W kopalni liczyli mu 1 dzień za dwa. Wyszedł na mocy amnestii, w sumie siedział nie całe 3 lata. Wyszedł w lutym 1955 r. W 1956 r. urodziłam jednego syna - Krzysztofa, w 1959 - drugiego syna - Bogusława.

Mąż po wyjściu był zdegradowany do stopnia szergowca /był chorąży/, pracy nie mógł znaleźć i poszedł do pracy na kolej w charakterze zwrotniczego. Pracował na kolei, potem zaczął chorować psychicznie. Potem miał też chory kręgosłup. /Zmarł w 1968 r. śmiercią samobójczą./